



Krzysztof
KOZIOŁEK

OPERACJA AKSAMIT

Brawurowy thriller autora
bestsellerowego kryminału

**FURIA RODZI SIĘ
W SŁAWIE**

Krzysztof
KOZIOŁEK

OPERACJA

**A
K
S
A
M
L
T**

 **MANUFATURA
TEKSTÓW**

[Kup książkę](#)

Redakcja i korekta

Daniel Lesiewicz

Projekt okładki

Kamil Pietruczynek

www.kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano fotografie

© Depositphotos.com/Drukarnia Chroma

Skład i łamanie

Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2016

Copyright © by Manufaktura Tekstów 2016

www.manufakturetekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora

www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze

Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-945880-4-5

Druk i oprawa

TOTEM - Inowrocław

[Kup książkę](#)

Dedykuję
Kamilowi Pietruczynikowi

*Walczymy o demokrację,
ale jej nie stosujemy.*
Z filmu „Karmazynowy przypływ”

Prolog

Niedziela

Kiedy tylko usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi, poczuł ukłucie w sercu. Siedział na wytartej, skórzanej pufie i na dźwięk uderzenia zastygł jak słup soli. Najmniejszy ruch sprawi, że stary materiał zacznie trzeszczeć, a to zdradzi, iż właściciel mieszkania w nim jest. Postanowił czekać.

Jednak ten, kto stał na korytarzu, nie zamierzał łatwo się poddawać. Kolejne stuknięcie w drewnianą dyktę było już zdecydowanie bardziej natarczywe.

Zaczął modlić się w duchu, aby przeczcucie go myliło. Spojrzał na połatane drzwi, skierował wzrok na jeszcze bardziej zniszczony zamek, który swoją funkcję spełniał już tylko na słowo honoru.

Podjął decyzję.

– Idę! – rzekł głośno. – Chwila!

– Spałeś? – mężczyzna, który pojawił się w drzwiach jako pierwszy, mógł mieć około 30, może 35 lat. Szerokie bary i potężne bicepsy jednoznacznie wskazywały na miejsce spędzania każdej wolnej chwili.

– Kimnęło mi się – próbował przykleić na twarz uśmiech.

– To sorki, stary, że cię obudziliśmy – wnętrzem dłoni przeciągnął po głowie, jakby w ten sposób mógł poprawić włosy krótko przycięte na wojskową modłę. Był przystojny i całym sobą komunikował otoczeniu, iż doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – Biznes mamy.

Dopiero teraz dostrzegł drugiego gościa. Nie mógł się pochwalić aż tak atletyczną budową ciała, aczkolwiek pod koszulą również przeżyła się góra mięśni. Jego gęste czarne włosy wywoływały nienaturalne wrażenie. Biorąc pod uwagę, że wyglądał na pięćdziesięciolatka z lekkim okładem, można było przypuszczać, iż są farbowane.

– Jaki? – spytał bez cienia zainteresowania w głosie.

– Będziemy mieli dla ciebie kolejną fuchę – przystojniak zamknął drzwi, po czym z tylnej kieszeni bojówek wyjął butelkę wódki. – Dawaj szkło! – mrugnął znacząco.

– Kiedy ja nie piję... – kolejna próba nieudanego uśmiechu.

– Powiedziałem: dawaj szkło! – twarz przystojniaka wciąż się śmiała, ale ton głosu sprawiał odmienne wrażenie.

Mężczyzna podszedł do starej komody, która niedyszejszą biel już wieki temu utraciła na rzecz brudnej szarości. Otworzył drzwiczki, wyjął trzy szklanki. Już na pierwszy rzut oka było widać, iż każda jest z innej parafii.

W tym czasie starszy z gości rozglądał się bacznie po mieszkaniu. Główne pomieszczenie miało jakieś 10 metrów kwadratowych i służyło jednocześnie za pokój dzienny, sypialnię i kuchnię. Spojrzał na drzwi do łazienki. Oklejone były plakatem z „Gwiazdnych Wojen”. Jego naderwany róg świadczył o tym, iż pochodził z odzysku, najpewniej zdarty z ogłoszeniowego słupa. Podobnie jak metalowa tabliczka zawieszona nad drzwiami wejściowymi. Zwykle w tym miejscu wisiał krzyż

lub święty obrazek, ten lokator postawił jednak na inne credo: „Dbaj o dobrą jakość odpadów metali nieżelaznych: chroń je przed pomieszaniami i zanieczyszczeniem”, sygnowane przez Centralę Gospodarki Złomem. Powiedział raz jeszcze wzrokiem po ścianach i sprzętach, próbując zlokalizować odczucie, które pojawiło się od momentu przekroczenia progu. Już miał! Czuł się jak w mieszkaniu u swojej babci, niech jej ziemia lekką będzie.

Kiedy siadał na kanapie, najpierw usłyszał jęk sprężyny zwiastujący niebezpieczeństwo, chwilę później zapadł się w niej głęboko.

– Da się na tym spać? – przystojniak poszedł w ślady starszego kompana.

– Da się – gospodarz przycupnął na pufie w bezpiecznej odległości. – Do wszystkiego można się przyzwyczaić – dodał głosem, w którym pobrzmiwała nuta ni to smutku, ni nostalgii.

– Nic innego do siedzenia nie ma? – skrzywił się przystojniak. – Ciężko mi będzie polewać...

– Ja dziękuję, nie piję.

– Wszyscy tak mówią – pieczołowicie odmierzał porcje wódki.

– Ale ja naprawdę nie piję... – protestował nadal.

– Pij! – podsunął szklankę.

Gospodarz, szukając pomocy, spojrzał z nadzieją na starszego z mężczyzn.

Ten jednak go nie widział, wciąż był zajęty lustrowaniem otoczenia. Kawalerka była urządzona więcej niż skromnie. Obok komody, kanapy, stolika, przy którym siedzieli, małej lodówki, kwiatka w dużej donicy

i wytartej pufy, jedynym meblem był wiekowy telewizor, patrząc po wyglądzie, najpewniej jeszcze czarno-biały.

– Stary, ale wciąż działa – rzucił gospodarz, jakby odgadując myśli.

Starszy mężczyzna nie skomentował uwagi, dalej chłonną szczegółoty otoczenia. Bieda aż piszczała, ale nie to najbardziej uderzało w oczy. Uwagę przykuwała czystość, w jakiej utrzymane było wnętrze, niemal sterylna, jakby właściciel planował tu otworzyć szpitalny oddział.

Jedynym elementem, który próbował nadać kawalerce jakiś własny styl, była kolekcja puszek po piwie ustawiona na komodzie. Na pierwszy rzut oka przypominała takie, jakie przed laty zdobiły niemal każdą meblościankę w polskich blokowiskach. Kiedy jednak przyjrzało jej się bliżej, bez problemu dało się zauważyć, że to puszki współczesne, a większość była co najmniej zdublowana.

– Pij! – na twarzy przystojniaka tliły się resztki uśmiechu.

Gospodarz sięgnął po szklankę, ale to było wszystko, na co się zdobył. Wiedział już, że będzie musiał wypić alkohol, który mu nalano – po dobroci lub nie – ale nie mógł się zmusić.

Starszy mężczyzna w milczeniu skierował na niego wzrok, po czym nieznacznie się uśmiechnął.

Gospodarz jednak nie dał się zwieść pozorom. W oczach gościa dostrzegł bowiem coś, co od razu zidentyfikował, czując zwierzęcy strach. Uciekł spojrzeniem, zerknął na szklankę, potem na przystojniaka, następnie wrócił wzrokiem w kierunku napitku. Zaczął się zastanawiać, czy stawianie oporu ma sens, ale bły-

skawicznie sam siebie przekonał, że stoi na przegranej pozycji.

– Za mało nalałem? – przystojniak ostrożnie napełnił szklankę do rantu, dbając, aby nie uronić ani jednej kropli. – No, dawaj!

– Ja nie mogę...

– Pij! – wrzasnął.

Przymknął powieki, próbując sobie przypomnieć szóste urodziny Basi, kiedy razem z żoną zabrali małą do wesołego miasteczka. Nie bez trudu pokonał opory małżonki i wsiadł z córeczką do ogromnej karuzeli. Piśkiem i okrzykiem zachwyty nie było końca, ostatecznie przejechali aż cztery tury!

Otworzył oczy, rzucił ostatnim spojrzeniem za okno, patrząc na konary brzozy targane wiatrem, gubiące pierwsze liście. Westchnął głęboko.

– Sam tego chciałeś – przystojniak wbił spojrzenie ponad gospodarza, po czym porozumiewawczo potaknął.

Gospodarz poczuł nagle, jakby ktoś chciał mu wyrwać wszystkie włosy z głowy, brutalnie odginając ją do tyłu. Chwilę potem druga ręka bezceremonialnie chwyciła go za szczękę.

Moment później zaczął się krztusić, czując palący trunek siłą wdzierający się do gardła.

Rozdział 1

Dwa dni później

Sara Bednarz nago wyglądała bosko. Długie zgrabne nogi zachęcały do odkrywania innych zakamarków

jej ciała i były preludium do szerokich, zmysłowych bioder podkreślających kobiecość. Właścicielka takiego ciała nie musiała obawiać się upływającego czasu. Nie musiała, ale się bała, co można było poznać po krótko ściętych włosach, jakby w ten sposób chciała sobie odjąć kilka lat.

Andrzej Sokół leżał spocony obok i zamiast sycić się widokiem ukochanej, wzrokiem wiercił dziurę w suficie sypialni.

- Co cię trapi? – spytała rozanielonym głosem.
- Nic – mruknął niewyraźnie w odpowiedzi.
- Nie wierzę – pochyliła się nad nim, ocierając jędrnymi piersiami o tors.
- Naprawdę.
- Akurat – siadła na nim okrakiem.
- Dwa dni temu w Nowej Soli znaleziono zwłoki mężczyzny.

– I to zaprzęta twoją uwagę? – syknęła zła z powodu ulatującego nastroju. – To ktoś znajomy? – usiadła na skraju łóżka, sięgnęła po seksowny szlafroczek, prezent od Sokoła.

- Bezdomny – odpowiedział cicho.
- Bezdomny? – powtórzyła jak echo, zawiązując pasek. – Znałeś go chociaż?

– Kiedyś pisałem o nim duży reportaż – Sokół usiadł na łóżku po turecku. – Facet miał prężną firmę informatyczną, duży dom, kochającą żonę i śliczną córeczkę. Stracił wszystko przez jakiegoś urzędasza ze skarbówki, który dowalił mu domiar za rzekomo niezapłacony podatek od czegoś tam... Kiedy zajęto mu konta, kontrahent wycofał się z umowy i zaczęły się problemy

ze splatą kredytów. Niedługo potem musiał sprzedać dom, resztę pieniędzy zabrała żona, tak jak córkę, której od tamtej pory nie widział ani razu.

– Nie dostał prawa do widzenia się z własnym dzieckiem? – Sara Bednarz nie mogła uwierzyć.

– Żona miała dobrego prawnika, on bronił się sam, bo mu nawet na czynsz nie wystarczało – wyjaśnił.

– Przyjaźniłeś się z nim? – stanęła w oknie, sycąc się widokiem Wzgórza Winnego i Palmiarni skąpanych w świetle ulicznych latarni.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył gwałtownie.

– To dlaczego jego śmierć tak cię uderzyła? – zdziwiła się Sara Bednarz. – Ciebie, Andrzeja Sokoła? Człowieka, który uważa, że nieudacznikom życiowym nie należy pomagać, jeśli tej pomocy prędzej czy później nie odpracują?

– To, że śmierzącym leniom wykorzystującym system opieki społecznej nie dałbym złamanego grosza, choćby mieli z głodu zdechnąć, nie jest równoznaczne z tym, iż potępiam każdego, komu się w życiu powinęła noga – odciął się momentalnie. – Ten facet starał się przynajmniej zarobić na życie zbieraniem złomu i makulatury. Nie mówiąc o tym, że stoczył się na margines życia nie przez własne lenistwo, tylko niekompetencję innych – kontynuował. – Wspominałem, że naczelnik ze skarbowki po tym, jak zniszczył tę firmę, wysoko awansował?

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego jego śmierć aż tak tobą wstrząsnęła – oparła dłonie o panoramiczną szybę. Chuchnęła, wpatrując się w kształty powstające od pary.

- Nic nie odpowiedział.
- A skąd wiesz o zgonie? – dociekała, tworząc nowe figury na szkle.
 - Czytałem.
 - W Nowym Głosie Lubuskim?
 - Nie – Sokół skrzywił się, jakby przesadził z cytryną do herbaty. – W mojej starej gazecie są już tylko plebiscyty. Wybory najlepszego listonosza, nauczyciela, proboszcza, weterynarza, kioskarza... Niedługo pewnie będzie można wybrać ulubionego pana spod budki z piwem – zżymał się. – Ale czego się nie robi dla płatnych esemesów? – spytał retorycznie. – Czytałem krótką wzmiankę w Czasie Nowosolskim.
 - Ktoś go zamordował?
 - Jak mówicie to wy, ludzie służb: na ciele denata nie odnaleziono śladów działania osób trzecich.
 - To jaka była przyczyna śmierci? – zawodowa czujność Sary Bednarz włączyła się błyskawicznie.
 - Przedawkowanie alkoholu powiązane z wychłodzeniem organizmu.
 - Standard – prychnęła lekceważąco, wracając do łóżka. – Ile miał promili?
 - Prawie pięć.
 - Może i chciał wrócić na drogę praworządności, ale jak zwykle się nie udało – sięgnęła do zasupłanego paska od szlafroka. – Takim jak on nigdy się nie udaje.
 - Sęk w tym, że on nie pił alkoholu – oznajmił szepem.
 - Co powiedziałaś? – palce zastygły w bezruchu.
 - Powiedziałem, że nie pił.
 - Jesteś tego pewien – to nie było pytanie.

– Kiedy skarbówka go wykończyła, zaczął chlać na umór. Gdy stracił dom, a żona odeszła z dzieckiem, trafił na ulicę. Szybko zabrakło mu pieniędzy na drogie trunki, więc przerzucił się na sikacze – opowiadał Sokół. – Pięć lat temu rzucił jednak picie i od tego czasu nie miał w ustach ani kropelki alkoholu.

– Może stało się coś, co sprawiło, że wrócił do kieliszka? – rzuciła bez przekonania.

– Nie sędzę – chrząknął. – Wiem, że trudno ci będzie w to uwierzyć, ale on naprawdę wykorzystał drugą szansę, którą dostał od losu. Ile razy spotykałem go w Nowej Soli, tyle razy żartował, że coraz mocniej kocha życie i to z wzajemnością. Tak mnie tym zaskoczył, że olałem konwenanse i spytałem go wprost, czy się zakochał.

– I?

– Wyśmiał mnie – Sokół uśmiechnął się na samo wspomnienie. – Wyjaśnił, że po prostu na nowo nauczył się cieszyć z najmniejszego drobiazgu – dodał. – Zresztą, trudno, żeby mógł się cieszyć z czegoś więcej, skoro nie było go nawet stać na wynajęcie mieszkania.

– Kiedy go ostatnio widziałeś? – drążyła.

– Miesiąc temu? – zastanawiał się. – Może dwa...

– Szmata czasu – zauważyła Sara Bednarz. – W takim czasie ludzie dorabiają się fortun lub je tracą. Odnowić przyjaźń z kieliszkiem można w jeden wieczór – stwierdziła autorytatywnie.

– Nie przekonuje mnie to...

– Powrót do nałogu zawsze jest łatwiejszy, niż się wydaje – była uparta.

– Masz jakiś nałóg, o którym nie wiem? – Sokół zmienił nagle temat, próbując złapać ją w pasie.

– Każdy musi mieć swoje tajemnice – sprawnie się wyslizgnęła. – Ja też – pchnęła go na łóżko.

– Chcesz o tym porozmawiać? – ostrożnie złapał ją za stopę, opuszkami palców delikatnie gładząc skórę.

– Łaskoczesz! – pisnęła.

– Musisz jutro wracać? – pocałował duży palec.

– Muszę – oparła się łokciami o poduszki.

– Możesz wziąć urlop... – Sokół musnął ustami łydkę.

– Nie mogę.

– Skłam, że jesteś chora – złożył pocałunek na kolanie.

– Nie mogę – westchnęła zmysłowo.

– To wymyśl coś innego – zbliżał się w kierunku biodra.

– Przecież już wymyśliłam – westchnęła raz jeszcze.

– Tak? – ucieszył się.

– I wielokrotnie ci proponowałam – rzekła Sara Bednarz. – Wprowadź się do mnie.

– A, to ta propozycja... – nagle przerwał pieszczoty, usiadł.

– Jeśli weekendy ci nie wystarczają...

– A tobie wystarczają? – rzucił Sokół prowokacyjnie.

– Nie o to chodzi – odrzekła.

– To o co? – był wyraźnie poirytowany.

– Przeprowadzka do Zielonej Góry oznaczałaby koniec mojej świetnie zapowiadającej się kariery – powiedziała cicho.

– No tak, twojej – zaakcentował ostatnie słowo – świetnie zapowiadającej się kariery... – Sokół obrócił się tyłem do Sary Bednarz. – A moja kariera?

– Przecież teraz jesteś wolnym strzelcem, równie dobrze możesz pracować we Wrocławiu – zbliżyła się do niego, po czym musnęła ustami szyję.

– A może nie mogę? – otrząsnął się nerwowo, wstał.

– Dlaczego nie możesz? – spytała.

– Bo nie – burknął Sokół, sięgając po spodnie leżące na podłodze. – Idę się przejść.

– O tej porze? – zdziwiła się.

– Porę moich spacerów też chcesz kontrolować? – warknął.

– Zostań – Sara Bednarz powiedziała to łagodnym tonem. – Zostaniesz?

Nie odpowiedział.

Rozdział 2

Restauracja „Kania i bracia” z zewnątrz wyglądała jak setki podobnych lokali w Warszawie, niczym się zbyt nie wyróżniając. Umieszczono ją na parterze kilkupiętrowej kamienicy, która czasy świetności miała już dawno za sobą. Wnętrze też zresztą nie należało do wyszukanych. O jej wyjątkowości stanowiło za to wykwintne jedzenie, o którego istnieniu przeciętny Kowalski nie miał zielonego pojęcia, nie mówiąc już o tym, że nigdy w życiu nie miał go w ustach. Może to nawet było lepiej dla przeciętnego Kowalskiego, bowiem ceny serwowanych przez „Kanię i braci” potraw przyprawiłyby go o natychmiastowy ból głowy. Niedostępna dla mas restauracja była za to przystanią dla wszelkiej maści polityków, biznesmenów i celebrytów, a stoło-

wanie się u Kani – jak mawiano w skrócie – należało do dobrego tonu. Szczególnie wskazane było korzystanie z dyskretnych łoży, co oczywiście wiązało się z dodatkową odpłatnością.

Marek Jeske – na co dzień minister spraw wewnętrznych w rządzie Platformy Wszystkich Obywateli – o dobry ton dbał, jak o mało co, w przeciwieństwie do wysokości rachunków, tymi zupełnie się nie przejmował. Można to było poznać choćby po alkoholu, który zamówił u kłaniającego się w pas kelnera.

– Mówię ci, Ararat jest najlepszy na takie podniosłe okazje – Jeske uniósł brodę, prezentując lekko wysuniętą dolną szczękę. W parze z nisko osadzonymi brwiami nadawała mu ona topornego uroku, nieprzystającego raczej do zajmowanego stanowiska. Garnitur – szyty na miarę w Londynie – i markowe perfumy nie były w stanie zrównoważyć takiego stanu rzeczy. – Wytwarzają go w Armenii z białych winogron, a tradycja produkcji sięga końca dziewiętnastego wieku – delektował się tembrem własnego głosu. – Jest tak miękki w smaku, jak może być tylko i wyłącznie koniak produkowany przez Sowietów.

– Armenia nie leży już w Związku Radzieckim – zwrócił uwagę Jacek Kantowicz. Na co dzień pełnił zaszczytną funkcję prezesa Narodowego Banku Polskiego, a po godzinach zamieniał się w zapalonego biegacza półmaratonów. Sam też nie grzeszył urodą – bardziej niż ekonomistę z profesorskim tytułem przypominał robotnika budowlanego – ale w porównaniu z Jeskem był nadzwyczaj urodziwy.

– O kwestiach polityki zagranicznej możesz rozmawiać z Radzimem – prychnął lekceważąco. – Już pan

jest – zwrócił się do kelnera. – To zamówimy przystawki. Co dla ciebie?

– Carpaccio z matiasa holenderskiego, kawior z anchois, rzodkiewki piklowane, kawior z łososia i tatar – wyliczył Kantowicz.

– Dla mnie będzie carpaccio z mlecznej jagnięciny oraz grillowany kozi ser ze szparagami – podał Jeske.

– Na danie główne dla panów? – spytał kelner.

– Ty zamów – rzucił Kantowicz.

– Dzisiaj weźmiemy ogony wołowe oraz... – wertował menu. – Ośmiorniczki.

– Bardzo proszę – kelner wykonał głęboki ukłon.

– Niech pan nie zapomni o wódeczce – Kantowicz skrzywił się w substytucie uśmiechu.

Kilka minut później oszroniona butelka stanęła pośrodku półmisków z przystawkami, a Jeske zaczął pełnić rolę gospodarza.

– Pamiętasz, jak pomogłeś nam wygrać poprzednie wybory parlamentarne? – minister rozlał pierwszą stopkę wódki.

– Mówisz o sfinansowaniu przez moją firmę waszego deficytu budżetowego? – Kantowicz sięgnął widelcem do tatara.

– Właśnie o tym.

– Przypominasz mi o tym, że macie u mnie dług? – zdziwił się. – Chujowo duży dług? – uśmiechnął się na wspomnienie obligacji, które Narodowy Bank Polski kupił od jednego z banków prywatnych, wcześniej wyemitowanych przez rząd spanikowany ziejącą dziurą budżetową. Działo się to niespełna rok przed wyborami, kiedy to notowania Sprawiedliwej i Prawej Polski zbliżyły się

niebezpiecznie do poparcia partii rządzącej. Zabieg z do-
drukowaniem pieniędzy – bo tym tak naprawdę było sku-
pienie obligacji przez NBP – uratował Platformę Wszyst-
kich Obywateli i dał jej kolejne cztery lata rządów.

– Tak, książę – beknął, używając ulubionego tytułu
Kantowicza. – Zaprosiłem cię na tę skromną kolacyjkę,
żeby porozmawiać o spłacie długu.

– Zamieniam się w słuch, mój przyjacielu – szef NBP
włożył do ust pierwszy kęs, popijając go wódką.

Jeske zaczął mówić, opowiadał powoli, ze szczegó-
łami, robiąc częste przerwy na jedzenie i picie. Kiedy
skończył, Kantowicz przez dłuższą chwilę nie mógł zna-
leźć języka w gębie.

– Ja cię, kurwa, pierdolę! – poruszał ustami jak ryba
wyjęta z wody, łapczywie wciągając powietrze.

– Wyluzuj, bo dostaniesz hiperwentylacji – zarechotał
Jeske.

– Ta suma... – wypuścił powietrze z sykiem. – Wała
ze mnie robisz?... – spojrzał podejrzliwie.

– Nie.

– Naprawdę mówimy o takich pieniądzach? – Kanto-
wicz wciąż nie dowierzał.

– Robi wrażenie, co? – minister koniuszkiem języka
oblizał dolną wargę.

– Macie rozmach, skurwysyny! – westchnął. – Polej
– podsunął kieliszek.

Jeske wielkopańskim gestem nalał wódki, aż alkohol
znalazł się na obrusie.

Kantowicz gwałtownie wychylił kieliszek, w wyniku
czego krople pociekły mu po brodzie. Nie wycierając
ich, podstawił naczynie raz jeszcze.

– Utrzymacie taki *deal* w tajemnicy? – rzekł, wypiwszy dolewkę. – Służby się nie zorientują?... Przecież do tego trzeba odpowiednich ludzi, sprzętu, zaplecza...

– Nic się nie bój, wszystko jest dograne. Mamy ekipę, która wszystkim się zajmie – ton głosu Jeskego uspokoiłby nawet niemowlaka z atakiem kolki. – Służbami też się nie przejmuj, są całkowicie pod kontrolą.

– Jak duże media? – beknął od serca.

– Jak karmi się je ogłoszeniami o ministerialnych przetargach i zaprasza na specjalne rauty, to się nimi kręci, jak chce – odpowiedział. – Pismaka trzeba sobie umieć wychować – zaśmiał się głośno.

– Wszystko żeście obsadzili – w głosie Kantowicza pobrzmiewał autentyczny podziw. – Trzymacie aparat państwowy żelazną ręką, oby tak dalej!

– Pierdolisz jak potłuczony – machnął zirytowany ręką. – Państwo polskie istnieje tylko teoretycznie! Tak naprawdę to dupa, chuj, wszystko gnój! – zamilkł nagle.

W drzwiach stał kelner z parującymi półmiskami. Rozstawił je sprawnie na stole, po czym opróżnioną do połowy butelkę wódki wymienił na nową. Na sam koniec – jakby gościom mało było dowodów jego profesjonalizmu – poprawił jeszcze tulipany w wazonie, odłamując jeden zwiędły liść.

– Dlaczego kaptujecie mnie dopiero teraz? – Kantowicz zadał pytanie znienacka, kiedy znów zostali sami.

– Minimalizacja ryzyka – odparł spokojnie minister.
– To duże przedsięwzięcie, trzeba uważać, żeby ktoś gdzieś czegoś nie chlapnął... Służby, służbami, ale w takim interesie dyskrekcja to podstawa.

– A jakbym się nie zgodził? – pytał dalej.

Jeske zaśmiał się pod nosem.

– Macie coś na mnie? – Kantowicz spojrzał podejrzliwie.

Minister spraw wewnętrznych wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Nalał wódki do obu kieliszków.

– Na wszystkich coś macie... – Kantowicz mówił dalej sam do siebie. – Chuj z tym, coś tam się w młodości przeszkrobało, może nawet trochę tego by się nazbierało, ale przecież każdy kiedyś był młody, prawda? – spojrzał, szukając akceptacji.

Radosne oczy Jeskego przepełnione były zrozumieniem.

– Pardon – rzekł cicho Kantowicz. – Ale mam dodatkowy warunek – zrobił pauzę dla zwiększenia efektu.

Minister spiął się w sobie.

– Wstawicie nowego ministra finansów – wypalił Kantowicz, po czym wychylił kieliszek do dna.

Jeske nie zamierzał kryć totalnego zaskoczenia.

– Na dziś jeszcze ci nie powiem, kto to będzie dokładnie – Kantowicz kontynuował niezrażony. – Ale znam takich ludzi, którzy się nadadzą do tego, co chcemy zrobić.

– Ja ci oferuję taką kasę, a ty targujesz się o jedno stanowisko? – rzucił z niedowierzaniem. – I to nawet nie dla siebie?!

– Nie lubię tego gnoja, po prostu! – szef NBP sięgnął po widelec. – Pierdolony saper gospodarki się znalazł!... To jego wymuskanie tak mnie wkurwia, że... – widelec ześlizgnął się z macki i palce siłą rozpędu uderzyły w ośmiorniczkę, charakterystycznie przy tym plaskając.

– Tak mnie wkurwia, że aż nie wiem! – zaśmiał się głośno, maczając dłoń w miseczce z wodą.

Jeske zawtórował mu śmiechem.

Rozdział 3

Środa

Sokół siedział przy ogromnym stole, zdecydowanie za dużym na jego potrzeby, nawet uwzględniając gości, których czasami do siebie zapraszał. Mimo niedopasowanych rozmiarów mebel komponował się z wnętrzem. Nie mogło być inaczej, blat został wykonany z cegieł z odzysku, obity dębowymi deskami, zaś funkcję nóg pełnił kawałek starego słupa energetycznego. Oparł na nim łokcie, położył brodę na dłoniach, zaczął tępo wpatrywać się w panoramiczne okno wstawione między wielkie stalowe słupy, pozostałość po dawnej przędzalni. Loft kupiony kilka lat wcześniej po okazyjnej cenie, raził surowością wykończenia, ale jednocześnie miał w sobie niepowtarzalny charakter, który właścicielowi pasował ze wszech miar, jego obecnej partnerce niestety dużo mniej.

– Sara – Sokół westchnął, bełtając łyżką w mlecznej zupie, dawno wystygłej. Nałożył porcję do ust, wzdrygnął się nerwowo. Zupy jadał tylko gorące, mleczna nie była tu wyjątkiem i nawet głód nie mógł zmienić zwyczaju. Odkładając naczynia do zlewu, zahaczył o narożnik, zamachał talerzem niczym kelner tacą, tyle że z dużo gorszym efektem. Klnąc jak szewc, zabrał się za wycieranie z podłogi rozlanego mleka.

Wciąż wściekły – ale tak naprawdę nie na zimny posiłek czy własną niezdarność, lecz na fakt, iż rano obok siebie zastał puste i zimne łóżko – sięgnął po telefon komórkowy. Zaczął pisać esemesa do Sary Bednarz, ale w połowie zmienił zdanie. Sięgnął po płaszcz i kluczyki do auta, w jednej chwili podejmując decyzję.

Nic tak nie ratowało mu nastroju, jak działanie.

★

Pół godziny później był już w Nowej Soli. Najpierw odwiedził znajomego policjanta, ten jednak nie mógł pomóc: zgon Taraszkiewicza od samego początku uznano za naturalny, a sekcja zwłok tylko potwierdziła, że zapił się na śmierć. Sprawa była zamknięta.

Dla policji, ale nie dla Sokoła. Zadzwoił do kolegi z redakcji Czasu Nowosolskiego, ten jednak również nie miał wiedzy większej od tego, co zamieścił w krótkim artykule.

Jedyny trop, jaki pozostał, to miejsce, w którym bezdomny zmarł: jedna z hal na terenie dawnej Nowosolskiej Fabryki Nici „Odra”. W latach świetności pracowało w niej kilka tysięcy osób, głównie kobiet. Była jednym z dwóch największych pracodawców w 40-tysięcznym mieście – obok Dolnośląskich Zakładów Metalurgicznych „Dozamet”, które z kolei zatrudniały przede wszystkim mężczyzn.

Upadek komunizmu oznaczał także koniec młochów, które nie poradziły sobie w gospodarce rządzonej bezlitosną ręką wolnego rynku. Fabryki padły, pociągając za sobą na bruk tysiące rodzin, a w Nowej Soli bieda zaczęła piszczeć na każdym rogu. Od tamtych przemian niektóre budynki dawnej „Odry” znalazły nowych wła-

ścicieli, pozostałe jednak niszczały, okradane przez złomiarzy ze wszystkiego, co można sprzedać.

Hala, w której znaleziono zwłoki mężczyzny, zionęła pustką, niczym nie różniąc się od innych. Tylko para lateksowych rękawiczek była niemyym świadkiem wizyty pogotowia ratunkowego, jedyną materialną pozostałością po tragedii.

Sokół jednak nie był z tych, co szybko się poddają. Rozpoczął obchód sąsiednich firm, pytając o bezdomnego i sam budynek. Niestety, Taraszkiewicza nikt nie kojarzył, dla pracujących tutaj ludzi każdy menel wyglądał przecież tak samo. Co do hali, też nie poszło lepiej, nie udało się znaleźć nikogo, kto wiedziałby coś więcej poza tym, że przez kilka tygodni działała w niej jakaś fabryka, co można było poznać po szumie pracujących maszyn i ciężarówkach podjeżdżających pod rampę załadunkową.

To wciąż było za mało, aby podjąć trop. Sokół zaczął więc analizować, szukając innego punktu zaczepienia. Jedynym, który przyszedł mu do głowy, był sam Taraszkiewicz. Konieczną więc okazała się wizyta w noclegowni.

Niestety, kierownik placówki nie miał dla niego dobrych wieści: od jakiegoś czasu mężczyzna już się tutaj nie pojawiał.

– Ponoć znalazł sobie mieszkanie – stwierdził kierownik krótko.

– Tak mu się poprawiło? – zdziwił się Sokół.

W odpowiedzi mężczyzna tylko wzruszył ramionami, więcej uwagi niż rozmówcy poświęcając temu, co działo się na korytarzu – trwało tam mycie podłogi.

– Mieszkanie czy może podnajmował pokój? – drążył dziennikarz.

– Mieszkanie – odparł bez chwili wahania. – Któryś z chłopaków w nim był – zamyślił się, szukając w pamięci. – Kawalerka z aneksem kuchennym i łazienką. Jak dla nich – kiwnął głową w głębię korytarza, na którym dwóch mężczyzn walczyło z brudem – luksus.

Chwilę później od jednego z nich Sokół otrzymał przybliżony adres: okolice ulicy Odrzańskiej. Na miejscu trochę czasu zajęło mu ustalenie, że bezdomny mieszkał w kamienicy przy Kościelnej, tuż przy skrzyżowaniu z Odrzańską. Zaczął pukać do kolejnych drzwi, próbując dowiedzieć się czegoś od lokatorów. Ludzie albo nic nie wiedzieli, albo wprost mówili, że nie wtrącają się w cudze sprawy. Większość nie miała nawet pojęcia, że mieli za sąsiada bezdomnego, nie mówiąc o tym, że mężczyzna dopiero co zmarł. Na drzwiach wejściowych nikt klepsydry nie powiesił.

Bezowocne działania nie zniechęciły Sokoła. Wiedział z doświadczenia, że metodyczne sprawdzanie danych jest ważne w ostatecznym rozrachunku. Kiedy do odwiedzenia został ostatni lokal, odetchnął głęboko, szykując się w duchu do kolejnej porażki. Z tabliczki wynikało, że mieszkanie należało do Teofili Szukałskiej. Spojrzał na ogromny wizjer, który akurat w tym momencie błysnął świetlnym refleksem. Już miał nacisnąć dzwonek przy drzwiach, gdy te niemiłosiernie skrzypnęły.

– Pan w sprawie sąsiada? – starsza pani, która otworzyła drzwi, wbiła palec w sufit. – Szkoda chłopaka, taki młody był.

Sokół zwątpił, czy lokatorka mówi o tym samym człowieku. Patrząc jednak na jej białe włosy i zasuszoną skórę na twarzy – przypominającą pole z rajkami dopiero co posadzonych ziemniaków – zrozumiał, że dla niej nawet pięćdziesięciolatek był młody.

– Skąd pani wie? – spytał.

– Ja wiem wszystko, panie redaktorze – w odpowiedzi Szukalska zaprezentowała biel sztucznych zębów.

– Panie redaktorze? – zmarszczył brwi. – Dawno nikt mnie tak nie tytułował.

– Kojarzę pana z Czasu Nowosolskiego i wcześniej z Nowego Głosu Lubuskiego – gestem ręki zaprosiła do środka.

– Najbardziej lubiłam czytać pańskie reportaże i felietony.

– Cieszę się ogromnie – Sokół usiadł na krześle, którego wiek już na pierwszy rzut oka można było ocenić na bardziej posunięty od właścicielki. – Szukam informacji o tym sąsiedzie, który...

– Zmarł – weszła w słowo. – Wiem, straszna sprawa.

– Straszna sprawa – potwierdził uprzejmie.

– Żeby tak marnie skończyć w tak młodym wieku...

– westchnęła staruszka. – Zbiera pan informacje do artykułu? – zaciekała się.

– Nie, to prywatne śledztwo, że tak powiem.

– Co pana interesuje konkretnie? – nie bez trudu sięgnęła po gruby brulion leżący na stoliku pod telewizorem.

– Wszystko, pani Teofilu.

– Wie pan, jak mam na imię? – spojrzała badawczo.

– Nazwisko też znam – uśmiechnął się.

– No tak... Tabliczka na drzwiach – Szukalska pacnęła się dłonią w czoło, po czym energicznie zaczęła wertować brulion, co chwilę śliniąc przy tym palec.

Sokół patrzył na nią, zastanawiając się, kogo mu przypomina. Szybko odszukał w głowie właściwą szufladkę. Właśnie tak wyobrażał sobie pannę Marple, detektywa amatorkę z powieści Agaty Christie.

– A to ciekawe... – staruszka zamarła. – Dopiero teraz to zauważyłam.

– Co takiego? – zainteresował się momentalnie.

– Ostatnie trzy wieczorne spacerzy z psem tej nowej sąsiadki spod czwórki trwały ponad godzinę. Może ma romans? Szybki numer na boku?...

– Takie rzeczy pani notuje? – w głosie Sokoła pobrzmiewał autentyczny podziw.

– Sąsiadką zajmę się potem... – znów przewracała kartki. – Mam! To było w niedzielę, po dwudziestej drugiej. Sąsiada odwiedziło dwóch mężczyzn, jeden około trzydziestki, bardzo przystojny, drugi dużo starszy. Po jakichś trzydziestu minutach wyszli razem z sąsiadem, chociaż właściwe byłoby określenie, że ci dwaj go nieśli.

– Nieśli? – nastawił uszu.

– Był tak pijany, że ledwo stał na nogach – Szukalska cmoknęła z niesmakiem. – Gdyby nie tamci, przewróciłby się na tych schodach. Od dwóch lat walczę w administracji, żeby je naprawili...

– Często widywała pani sąsiada na podwójnym gazie?

– Sokół wszedł jej w słowo.

– Nigdy, nie licząc tej niedzieli – odpowiedziała bez namysłu.

– Jest pani pewna?

– Przede mną nic się nie ukryje, proszę pana – rzekła z nieskrywaną dumą. – Sąsiedzi piętro wyżej, ci młodzi, wie pan, którzy?

– Wiem – odrzekł.
– Lubią się zabawić – szepnęła, przykrywając usta dłonią.

– Zabawić?

– Fachowo to się nazywa seks z elementami dominacji, chociaż zastanawiam się, czy w tym przypadku nie powinniśmy bardziej mówić o sadyzmie... Ale! – klasnęła głośno. – Nie przyszedł pan przecież pytać o seksualne upodobania moich sąsiadów.

– Nie przyszedłem – potwierdził, powstrzymując uśmiech. – Co jeszcze może mi pani powiedzieć o sąsiedzie?

– Bardzo miły człowiek. Mieszkał tu dopiero od miesiąca, ale zdążyłam mu się dobrze przyjrzeć. Po twarzy i dłoniach widać było, że wiele w życiu przeszedł, powiedziałabym nawet, że musiał mieć z tym życiem nie bardzo po drodze, ale... – zamyśliła się. – Takich jak on nazywa się dobrymi ludźmi. Był zawsze bardzo uprzejmy, nie zdarzyło się, żeby nie przepuścił kobiety w drzwiach. A wie pan, jak to jest dzisiaj z mężczyznami...

Potaknął.

– Dlatego tak bardzo zdziwiła mnie ta sytuacja z niedzieli. Zupełnie nie pasowało mi to do jego wcześniejszego zachowania – westchnęła Szukalska. – Broń panie Boże, nie oceniam sąsiada, przecież każdy ma prawo do odrobiny szaleństwa, prawda?

– Jak sąsiedzi z góry? – wskazał palcem na sufit, zastanawiając się jednocześnie, na jakie szaleństwa pozwala sobie panna Marple.

– Właśnie! – zgodziła się natychmiast. – Gdyby mnie pan odwiedził wczoraj, to by się pan nasłuchał! – kiw-

nęła głową z niedowierzaniem. – Mają zdrowie, że tylko zazdrościć...

– Na mnie już pora – wstał.

– Jeszcze jedna rzecz! – Szukalska odwróciła brulion i otworzyła go od tyłu. – Parking pod naszym kościołem jest mały, dlatego ksiądz proboszcz postawił specjalny znak, żeby mogli parkować tylko parafianie. Co jakiś czas trafiają się jednak spryciarze, którym nie chce się wydać złotówki na postój na placu Floriana, dlatego spisuję numery rejestracyjne i jak widzę takiego, to wzywam straż miejską.

– Pani ma samochód? – zdziwił się niepomiernie.

– Nie, ale to nie jest żadna przeszkoda w tym, aby móc służyć pomocą innym, prawda?

– Oczywiście – potwierdził Sokół skrzętnie. – Chce mi pani powiedzieć, że spisała numer rejestracyjny auta, którym przyjechali ci dwaj mężczyźni?

– To był duży czarny samochód terenowy, marki niestety nie znam – westchnęła. – Numer zapiszę panu na karteczce, dobrze?

– Będę niezmiernie wdzięczny – uśmiechnął się szeroko. – Z ciekawości spytam: wezwała pani strażników?

– Przecież mówiłam, że to było w niedzielę po dwudziestej drugiej – notowała, nie patrząc na rozmówcę. – O tej godzinie straż miejska już nie pracuje, a na policję nie ma co dzwonić, do takich pierdów i tak nie chce przyjeżdżać, a tylko zawsze pyta o nazwisko. Jakbym chciała być później ciągnana po sądach, wyobraża pan sobie?

Sokół sobie wyobrażał.

W pierwszym odruchu dziennikarz chciał zadzwonić do Sary Bednarz, ale zrezygnował. Złość na rejteradę ukochanej była zbyt świeża. Postanowił więc wysłać esemesa. Inaczej niż zwykle, nie zrobił czułego wstępu, ale od razu przeszedł do rzeczy i poprosił o sprawdzenie numeru rejestracyjnego zapisanego przez Szukalską.

Potem rozpoczął rajd po nowosolskich skupach złomu. Dopiero szósty strzał okazał się trafiony.

– To mój stały klient – właściciel firmy nie miał problemów ze skojarzeniem Taraszkiewicza. – Pamiętam go doskonale, bo zawsze miał towar idealnie posegregowany. Większość z nich przywozi barachło, potrafią do puszek kamienie powrzucać, żeby kilka gramów więcej wyszło. Co innego ten, porządek jak w aptecę – egzaltował się. – Co pan chce wiedzieć?

– Kiedy był u pana ostatnio?

– Wie pan co... – podrapał się po karku. – Jakiś czas go nie widziałem... Ze dwa tygodnie?

– Może miesiąc? – odpowiedział Sokół.

– Może być miesiąc, tak dokładnie panu nie powiem. Sokół milczał, licząc w myślach.

– Ale mogę sprawdzić! – mężczyzna ucieszył się jak dziecko. – Momencik – ruszył do biura, wrócił chwilę później. – Ostatni raz był u mnie półtora miesiąca temu.

– To by się zgadzało – Sokół miał w pamięci informacje od staruszki i z noclegowni. – Jak jeszcze do pana przyjeżdżał, to ile wyciągał?

– Bywał u mnie regularnie dwa, czasem trzy razy w tygodniu. Nieczęsto udało mu się uzbierać na Wielkiego Kazimierza.

– Na Wielkiego Kazimierza? – wytrzeszczył oczy.

– Właściwie Kazimierza Wielkiego – właściciel skupu z kieszeni wyciągnął portfel, wyjął z niego plik banknotów, oddzielił 50-złotowy. – Co jest?... – zaczął go dokładnie oglądać z każdej strony. – Uff! – rzekł po chwili z ulgą. – Przestraszyłem się, że to fałszywka, już kilka razy mi się trafiło. Na szczęście oryginał, ten z nowej serii.

– Nowej serii? – Sokół zadał pytanie z czystej uprzejmości. Dziennikarskie doświadczenie go nauczyło, że więcej ważnych informacji można z ludzi wyciągnąć, jeśli pozwala im się mówić, co ślina na język przyniesie. Przerywanie niepotrzebnych wątków najczęściej rozmówcę blokowało.

– Ruszyła wymiana starego typu banknotów na nowe. Panie, ile z tym zachodu! – westchnął sugestywnie. – Byłem na szkoleniu w banku, ale wciąż jeszcze nie mogę się do nich przyzwyczaić. Taksówkarze się mylą, kasjerki w marketach, nawet pracownicy banków jeszcze się nie wdrożyli!

– Nawet bankowcy? – Sokół sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego.

– Tak! – potaknął gwałtownie. – Podczas przerwy na szkoleniu nie zostawili suchej nitki na tym pomysle. Ale wie pan, jak się w Polsce wprowadza reformy: zaklepie się ją na papierze, a potem jakoś to będzie. A ty się człowieku martw – machnął zrezygnowany ręką.

– Wracając do tematu – wtrącił delikatnie. – Ile Taraszkiewicz wyciągał u pana za jednym kursem?

– Dwadzieścia, góra 25 złotych – ocenił. – Czasami, jak na przykład wannę żeliwną przywiózł, to więcej.

– Tyle, co nic...

– Panie, ja prowadzę firmę, nie przytulisko – obruszył się mężczyzna.

– Źle mnie pan zrozumiał – Sokół uśmiechnął się przepraszająco. – Chodziło mi o to, że ze zbierania złomu mógł co najwyżej kupić jedzenie, ale mieszkania by już nie wynajął.

– A bo to mój problem? – burknął. – Towar przywieźli, muszę iść – wskazał ręką na dwóch mężczyzn zmagających się z dziecięcym wózkiem pełnym rynien. – Won mi z tym, łachudry! – krzyknął z daleka. – Ślepy by zauważył, że to nówki sztuki, pewnie dopiero co ukradzione! – darł się wniebogłosy.

– Panie kierowniku, jakie kradzione?! – jeden z mężczyzn zaprotestował ostro. – Za pół ceny oddamy – dodał ciszej.

Sokół nie przysłuchiwał się dalej wymianie zdań między właścicielem skupu złomu i złodziejami, miał swoje sprawy. Wracając do auta, analizował w myślach: Taraszkiewicz nie mógł wynająć mieszkania, nie z tego, co uzbierał za sprzedaż złomu. W takim razie skąd miał odpowiednią ilość pieniędzy?

Wtem coś przyszło mu do głowy. Wyjął telefon, wszedł na internet, znalazł stronę ewidencji działalności gospodarczej, wpisał adres hali, w której znaleziono zwłoki. Kiedy pojawił się wynik wyszukiwania, w pierwszej chwili stwierdził, że coś pomylił. Sprawdził dane raz jeszcze, teraz miał już pewność. W hali, w której bezdomny dokonał żywota, zarejestrowana była fir-

ma o nazwie Tarex. Jej właścicielem był nie kto inny, jak sam zmarły!

Nie dość, że nie wiadomo skąd wziął pieniądze na wynajęcie mieszkania, to jeszcze założył działalność gospodarczą, wynajął halę, maszyny i ciężarówki. Coś tu śmierdziało i bynajmniej nie chodziło o feter dobiegający ze złomowiska. Sokół przewinął stronę na sam dół i zdziwił się jeszcze bardziej. Taraszkiewicz założył Tarex półtora miesiąca temu, a w ostatni piątek go zlikwidował!

Wtem aż podskoczył na fotelu, przestraszony sygnałem nadejścia esemesa. Wiadomość pochodziła od Sary Bednarz i była równie pozbawiona czułości, co jego wcześniejsze zapytanie. Nie przejął się tym jednak wcale, co innego przykuło jego uwagę. Numer rejestracyjny auta podanego przez nowosolską pannę Marple przypisany był do opła vectry należącego do górnika z Lubina, który wczoraj rano zgłosił kradzież obu tablic.

Kto kradnie tablice rejestracyjne i najpewniej przykręca do własnego auta? Ktoś, kto chce ukryć tożsamość. Potem ten ktoś odwiedza Taraszkiewicza w mieszkaniu, na które ten nie ma prawa mieć pieniędzy. Pije z nim alkohol, chociaż Taraszkiewicz nie pił alkoholu. A na koniec niedawny bezdomny umiera w pustej hali, którą sam wynajął – za co?

W układance wciąż brakowało wielu istotnych puzzli, ale Sokół miał już podejrzenie graniczące z pewnością, że śmierć Taraszkiewicza nie była dziełem przypadku. A to oznaczało, że trzeba wrócić do hali i przyjrzeć się jej jeszcze dokładniej.

Jak pomyślał, tak zrobił. Z auta wyjął latarkę czołową, zaczął mozolne oglądanie każdego metra kwadratowego potężnej hali. Szybko znalazł dziury w starej betonowej posadzce, świeże ślady po potężnych śrubach. Założył, że przytrzymały jakieś duże i ciężkie maszyny.

Podszedł do beczki po oleju silnikowym stojącej w rogu, którą wcześniej tylko otaksował wzrokiem. Przewrócił ją na bok, wysypał zawartość na posadzkę, wzbijając tumany popiołu. Czyżby beczka robiła za koksownik? Nie, to było błędne założenie, jedna koza nie ogrzałaby takiej kubatury, zresztą noce nie były jeszcze na tyle chłodne. Beczka raczej posłużyła do pozbycia się ważnych dokumentów. Z tą myślą Sokół zaczął grzebać w popiele.

– Pokaż mi swoje śmieci, a powiem ci, kim jesteś – rzucił zadowolony sam z siebie, znalazłszy kawałek niedopalonego kartonu. Poświecił latarką, na nietkniętej tekturze znalazł opis towaru: folia stretch, a pod nią kod kreskowy. Wrócił do przeszukiwania popiołu, niestety, nic więcej nie znalazł.

Nie namysławiając się długo, pojechał do hurtowni z opakowaniami na drugim końcu miasta. Pracownik bardzo chciał pomóc, ale nic nie wskórał, takiego produktu nie mieli w ofercie. Szybko jednak sprawdził kod kreskowy w internecie, okazało się, że folię produkowała firma z Poznania.

Dalej Sokół szukał już sam. Na jednym ze zdjęć dostrzegł karton z identycznym kodem, dowiedział się, że opakowanie zawierało 50 rolek folii.

Odszukał numer biura obsługi klienta, zadzwonił, podając się za Taraszkiewicza i prosząc o sprawdzenie faktury za folię dla Tareksu.

– Ale której, bo mam kilka faktur – pracownica miała przyjemny, ciepły głos.

– Ostatniej – zaryzykował Sokół. – Proszę mi podać ilość towaru i kwotę, bo księgowa coś pomieszała z fakturami i teraz to muszę odkręcać.

– Mam trzy faktury, każda jest na 500 rolek – wyliczała. – Dwie faktury są na czarną folię, jedna na białą.

Ilość zamówionego towaru zrobiła na Sokole nie lada wrażenie.

– Jest pan tam jeszcze? – spytała kobieta po chwili.

– Jestem, jestem... – odzyskał zdolność mówienia.

– Dużo tej folii...

– Ratusz można by nią owinąć – zaszczebotała. – W czymś jeszcze mogę pomóc?

– Księgowa chyba już puściła przelew – podjął decyzję w jednej chwili – ale gdzieś zawieruszyła fakturę. Może mi ją pani przesłać raz jeszcze?

– Momencik – z drugiej strony słuchawki dało się słyszeć stukanie klawiatury. – Przelew już wpłynął. Fakturę przesłać na ten sam adres?

– A na jaki pani wysyłała? Pytam, bo mam jeszcze dwie inne firmy i mi się to już wszystko miesza – Sokół kłamał jak najęty. – Księgowa się tym zajmuje, nie zawsze z dobrym skutkiem – dodał usprawiedliwiająco.

Kobieta przeliterowała adres mejlowy, skrzętnie go zanotował, po czym rzekł:

– Ta skrzynka często szwankuje, podam pani inny adres – podyktował swój i podziękował za pomoc.